Adam Fiala. Artysta niepokorny.

Pomiędzy życiem i sztuką polskiego „Aborygena” w Australii.

Adam Fiala na tle Blue Mountains w Australii.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Z zawodu wyuczonego jest Pan prawnikiem, z zawodu uprawianego – artystą. Jak pan godzi te dwa zawody?

Adam Fiala: Na szczęście nigdy nie musiałem wybierać. Jako prawnik byłem rodzajem artysty, jako artysta rodzajem prawnika, znałem się na prawie autorskim i *copy right*. Owszem studia polegały na nauce pamięciowej, potem aplikacje: sądowa i adwokacka, ale gdy wreszcie zdobyłem zawód radcy prawnego stałem się prawnikiem artystą. Pracowałem tylko w terenie na maleńkich działkach – półetaty, ćwiartki. Dawało to w sumie wynagrodzenie górnika dołowego przy minimalnej stracie czasu. Nie obowiązywało mnie siedzenie w urzędzie, wyjeżdżałem dwa razy w tygodniu najpierw w województwie lubelskim, potem warszawskim, w tak zwany teren. Pieczątką radcy podbijałem działania prezesa i ta praca się utrzymywała przy odrobinie szczęścia, a takowe miałem, do ogłoszenia stanu wojennego.

Potem się znacznie popsuło, tak więc nie żałowałem radcostw wyjeżdżając z kraju. W 1985 zjawiłem się w Australii, która z natury kochała karczujących pionierów – emigrantów, a nie radców prawnych z PRL-u.

JSG: Wybrał Pan prawo, jako kierunek studiów ze względu na tradycję rodzinną?

AF: No właśnie, prawo. Ojciec był adwokatem, wuj adwokatem. Ale ja osobiście uważałem prawo za suche i nudne. W Lublinie wtedy nie było Szkoły Aktorskiej czy też Konserwatorium, moje młodzieńcze pasje to nie było prawo, ale aktorstwo oraz gra na fortepianie. Uwielbiałem grać utwory klasyczne, zwłaszcza Chopina. Kto wie, gdybym poszedł do Konserwatorium, może brałbym udział w Konkursie Chopinowskim?

Ojciec był pomocnikiem wuja i marnie zarabiał, tak że w domu się nie przelewało. Poza tym większość pieniędzy pochłaniało hobby ojca, czyli zbieranie unikalnych znaczków pocztowych. Później za taki jeden znaczek można było kupić małego Fiata. Ale los się tak ułożył, że nic nie dostałem w spadku po rodzicach, jeżeli nie liczyć czarno-białego albumu fotograficznego ocenzurowanego przez matkę, bo był między rodzicami konflikt zakończony rozwodem i wyjazdem ojca z Lublina.

Prywatna nauka gry na pianinie dała mi możliwość zajęcia się później poezją śpiewaną, ale nie miałem większych sukcesów w tej dziedzinie i jak wyczuwałem… perspektyw. Byli inni dużo lepsi. Ponoć na dłoni mam znak, że wybrałem niewłaściwy zawód. Ale ja sobie świetnie dawałem radę z tymi terenowymi radcostwami przez dobre kilkanaście lat i zdobywałem materiał niezbędny dla pisarza czyli „samo życie”.

Adam Fiala (w środku) z bratem i kuzynem, fot. arch. rodzinne.

JSG: Artystyczne zamiłowania miała Pana mama?

AF: Moja matka była urodzoną artystką, miała bardzo sprawne ręce, robiła świetnie kopie znanych polskich malarzy. Jej problemem było to, że nie stać ją było na studia na Akademii Sztuk Pięknych, kupa rodzeństwa, bieda. Mój dziadek, a jej ojciec był kowalem artystycznym, gdyby dożył, w Polsce Ludowej nieźle by sobie radził. Teraz to chyba by go zamęczono podatkami, bo obecni urzędnicy są bardzo sprawni, w odróżnieniu od dawnych. Matka w pewnym okresie też dobrze zarabiała, wykonując ręcznie malowane Madonny dla *Ars Christiany*. To zajęcie traktowane było przez ówczesne władze finansowe jako rzemiosło artystyczne, czyli wolne od podatku.

Przestała malować, gdy wprowadzono podatek.

Matka zbierała moje dziecięce rysunki lokomotyw, mimo, że powątpiewała w mój talent, bo od początku inaczej rysowałem i malowałem niż wszyscy. Mówiła „kto to kupi?" Ale jednak później sprzedawałem obrazy przez Desę Handlu Zagranicznego w Warszawie, miałem nawet kilka wystaw w Europie. Matka nie rozumiała, dlaczego ta dziwna sztuka ma mieć przyszłość. Cała rodzina uwielbiała Matejkę, a wybrzydzała na Picassa, lansowanego wtedy przez „Przekrój", kiedy jeszcze oficjalnie trwał socjalistyczny realizm.

JSG: Jakie wartości przekazała Panu rodzina?

AF: Przede wszystkim wartości religijne. Chodziłem na nabożeństwa do pobliskiego kościoła na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Bardzo żałowałem, że później łacinę zastąpiono językiem polskim. Łacina miała coś dla mnie z mistycyzmu i spirytualizmu. Kochałem Lubelski Cud w katedrze z płaczącą za komunistów Matką Bożą. Tak, lubię religię, ale bynajmniej nie jestem pobożny. Religię traktuję jako sprawę kulturową, właśnie te korzenie, o których mawiał nasz Papież, *nota bene* profesor KUL-u.

JSG: Proszę opowiedzieć o swoim debiucie literackim.

AF: Nieformalnie debiutowałem bardzo wcześnie. Wuj adwokat prowadził gościnny dom w Warszawie, ożeniony z autentyczną księżniczką, panią M. Miała mirtę książęcą w metryce i herb. Otóż tam napisałem pierwszy rymowany patriotyczny wierszyk o Polsce w niewoli, z optymistycznym zakończeniem, że „kraj ukochany wreszcie zrzuci kajdany", co się stało. Czasy, prywatnie biorąc, były trochę mistyczne, wuj zasuwał firanki i puszczał płytę „Czerwone Maki na Monte Cassino". Była to zakazana melodia tak jak za Niemców: „Siekiera, motyka, piłka, szklanka".

Prawdziwy mój debiut wiąże się ze snem. Pod naszym mieszkaniem lokatorskim w Lublinie była suterena, w której mieszkała samotna kobieta z siedmioma kotami. Polewałem je z góry, gdy wygrzewały się na słońcu. Otóż śniło mi się, że przez jej suterenę przejeżdża pociąg parowy, taki, jakie wtedy jeździły. Opisałem sen, wydrukowali, dostałem 100 złotych honorarium. Pomyślałem, że to niezłe zajęcie być Panem Literatem, jak mówili milicjanci do pisarzy. Teraz czasy się zmieniły, trzeba samemu zapłacić, by coś opublikowali. Widocznie pisarze za mało walczyli o Nowe.

JSG: Czy są Państwo emigracją Solidarnościową?

Adam Fiala jako student prawa na UMCS w Lublinie, w latach 60., fot. arch. rodzinne.

AF: Tak, jestem emigrantem epoki solidarnościowej, mimo że oficjalnie do związku nie należałem. Ale podobał mi się Wałęsa – brunet, przystojny, przypominał nieco Piłsudskiego, z poczuciem humoru, bo podpisywał dokumenty olbrzymim długopisem i lubił mieć Matkę Boską w klapie. Ja mam maleńki medalik Matki Boskiej z Niepokalanowa, wszyty w portfel, to mój talizman. Lubiłem też jego zwrot „w temacie”. Wyobrażałem go sobie jako

Konrada Wallenroda. Musiał wejść w system, by z nim walczyć. Stąd dla mnie te wszelkie rozważania: Bolek nie Bolek nie mają większego sensu. Nasz „Papa" też nie był przeciwnikiem systemu, był obojętny. W przeciwnym wypadku nigdy by nie został arcybiskupem, a potem papieżem. W wyniku porozumienia między rządem a kościołem, kościół wyznaczał kandydatów na wysokie stanowiska, ale rząd ich akceptował. A że Jan Paweł II był znakomitym dyplomatą, to już zupełnie inna sprawa…

JSG: Dlaczego wyjechali państwo tak daleko, aż do Australii i jakie były początki pobytu w obcym kulturowo świecie?

AF: To był los. Złożyliśmy podania do Stanów, Kanady, Australii i właśnie ten ostatni kraj nas zaakceptował, ale z pewną wyczuwalną niechęcią. Mimo, że Niemcy dawały mi azyl jako prześladowanemu członkowi rozwiązanego Związku Literatów Polskich, dla Australii było to obojętne, przyjęto nas ze względów humanitarnych oraz dlatego, że mieliśmy koneksje z „siostrą bratowej". Mówiliśmy panu w Niemczech, który pomagał w pisaniu podań, że siostra bratowej to słaby argument, lecz on odpowiedział: „Ale siostra". I miał rację. Siostra bratowej nie pojawiła się wprawdzie na lotnisku, a mimo to nie cofnięto nas do Niemiec. Mieszkaliśmy najpierw w Hostelu w Melbourne, a potem przenieśliśmy do prywatnych apartamentów w Perth. Bardzo mi się podobało słowo: apartamenty. Pisarz musi być

wrażliwy na słowa.

Było trochę ciężko, nowy, tak różny od europejskiego świat, no i z zimy w zimę, bo wylądowaliśmy w Melbourne, które ma klimat „cztery pory roku w jednym dniu” akurat w czerwcu. Kocham słońce i tego mi brakowało. W Perth otrzymałem go z nawiązką, co skończyło się rakiem skóry. Ale nie przejmowałem się, bo „co ma wisieć nie utonie”.

JSG: Proszę opowiedzieć o życiu artysty w Australii.

AF: W Australii, wyznającej zasadę multikulturalizmu, życie artystyczne było dość skomplikowane. Wielokulturowość w praktyce oznaczała, że powinieneś się udać do swojego kulturowego środowiska czyli Polonii w Perth, która była jakaś niełaskawa i do tej pory taka pozostaje. Krążył dowcip, że i Picassa by skierowano jako „etnika” do grupy Latino. Brałem udział w licznych wystawach, ale zrezygnowałem, bo bardzo trudno było się przebić. Polska grupa była modna w okresie Solidarności, ale gdy w Polsce zmienił się system jakoś o niej w Australii zapomniano. Nie biorąc pod uwagę, że emigracja z Polski była zawsze dynamiczna, w myśl zasady „Polak potrafi”.

Polak miał także duże zdolności do improwizowania. Ale nie słyszałem by w Australii jakiś polski pisarz czy artysta się wybił kulturowo na same szczyty, choć wiem, że na przykład pani dr

Teresa Podemska, poetka i literaturoznawca, włożyła w porównaniu ze mną, dość leniwym, ogrom wysiłku studiując i studiując. Mnie już się nie chciało powtarzać kursu prawa. Zresztą do tego potrzeba doskonałej znajomości języka, ja do tej pory mam kłopoty ze *spelingiem* i prawidłową gramatyką, choć i owszem piszę teksty piosenek dla siebie w języku angielskim czy australijskim.

Sztuka w Australii jest bardzo zbiurokratyzowana. Tutaj to kochają. Wystawy praktycznie, poza wyłożeniem sporych kosztów, dają to, że nadal tkwi się w punkcie jeden. Ale jeżeli ktoś kocha tworzenie, tak jak ja, to go to mało obchodzi. Kocham sam proces pisania, malowania czy muzykowania. Medale, nagrody, osiągnięcia, są dla mnie wtórne. Zresztą kiedy byłem aktywnym klientem opieki socjalnej zauważyłem, że oni bardzo nie lubili *artu*, więc o tym już nie wspominałem. Co lubili? Nie wiem. Może kucharzenie i malowanie ścian. Teraz jestem pełen podziwu dla tak zwanych artystów ulicznych zdobiących mury. To ciężkie i niebezpieczne dla zdrowia zajęcie.

Adam Fiala na wycieczce w Sydney.

JSG: Jak Australia odbiła się w Pana twórczości?

AF: Australia okazała się znakomitym źródłem wszelkich pomysłów, zwłaszcza, że czułem się artystą podziemnym i niezależnym. Robiłem to, co sam chciałem, co mi bardzo odpowiadało bowiem jestem naturalnym samoukiem. Obserwuję pilnie innych, ale przede wszystkim lubię własne przemyślenia i koncepcje. Gdy byłem w Polsce fascynował mnie absurd i szarość życia. Tutaj było kolorowo, ale zawsze trochę absurdu można było z powodzeniem znaleźć. Gdybym traktował Australię jako

ląd przysłowiowych „Saksów”, dawno bym stąd odleciał. Wielu znajomych to zresztą zrobiło…

JSG: Jakie ma Pan doświadczenia z australijskim środowiskiem polonijnym?

AF: Polonia marudziła na nas, że nie mamy stałej pracy (literaturę i sztukę uważano za hobby). Ciągle to słyszeliśmy. Nawet u lekarki, u której zacząłem się w końcu leczyć na depresję. Problem był w tym, że nikt z naszej trójki nie mógł znaleźć stałej pracy. Jedynie syn Andrzej przez pewien czas pracował w instytucji opiekującej się seniorami i to za pół darmo. Stara Polonia podobno ciężko fizycznie pracowała, nawet przy karczowaniu drzew, to był warunek jej przyjęcia po wojnie, gdy w Polsce zapanował komunizm. Ciągle więc słyszeliśmy, że żyjemy na koszt podatnika i najgłośniej o tym mówiła właśnie Polonia, a nie kulturalni i dyskretni Australijczycy, traktujący każdego po imieniu, bez tego: „Pan wie, kim ja jestem?”

Niektórzy moi lubelscy znajomi mawiali, że pod płaszczykiem wesołkowatości ukrywam depresję. Mieli rację. Depresja jest najpowszechniejszą chorobą XXI wieku. Nowością dla mnie było to, że dowiedziałem się, iż nawet ludzie sukcesu jak Churchill (pomijając jego politykę, dostał Nobla literackiego) mieli *black doga* czyli głęboką depresję. Ja miałem depresję z powodów rodzinnych. Ojciec: dyrektor, adwokat, radca prawny, był

prymitywnym domowym tyranem. Ale nie uciekałem w alkohol czy środki farmakologiczne (o narkotykach wtedy nie mówiono nawet). Uciekałem w przyrodę, na pobliskie pola, na zmarznięte zimą grudy. Do Starego Lasu. To było moje najlepsze i najskuteczniejsze lekarstwo.

Gdy znalazłem się w Australii depresja powróciła. Na emigracji mogłem jedynie jeździć na taksówce. Jakaś siostra zakonna w Melbourne doradzała mi bym został motorniczym tramwaju. Jednak byłem marnym kierowcą ze słabą orientacją w ulicach. W Warszawie z tego powodu oblałem prawo jazdy. Egzaminator na pudełku papierosów napisał „Orient". Brzmiało to filozoficznie, ale chodziło o moją orientację w terenie. Powiedzieli, że nigdy nie powinienem zasiadać za kółkiem. Nawiasem mówiąc tego egzaminatora spotkałem później w Ustce, kiedy dojechaliśmy tam wraz z żona Anną i synem Andrzejem, naszym groszkowym fiacikiem, którego później trzeba było zamienić na paszport.

jeden myśliwy, jeden tygrys
ADAM FIALA
ADAM FIALA
KASKADERZY
ADAM FIALA
SPRAWY RODZINNE
Adam Fiala
termiterium wisielców
ADAM FIALA
zygzakiem
po prostej
ADAM FIALA
zygzakiem
po prostej
ISKRY
Adam Fiala
Podróż Tomka
na dwie planety
miesiąc
mojego
życia
1973
ADAM FIALA
„KIEDY ŚWIECI MARZENIA"

ADAM FIALA
BIBLIA
przez moje okulary
ADAM FIALA
ADAM FIALA
PRZESZCZEP
GŁOWY
Adam Fiala
Aforyzmy o miłości
z różą i kodem
Adam Fiala
ADAM FIALA
U BRZEGÓW
ABSURDU
Adam Fiala
Mitologia grecka
na nowo
Miniatura

JSG: Od czasu debiutu literackiego, jak wygląda Pana przygoda z piórem?

AF: Jako azylant w Niemieckiej Republice Federalnej odczuwałem chwile euforii, z zapałem rozpocząłem pisanie mojej „Odnowy". Myślałem, że na nią będzie zapotrzebowanie w Wolnym Świecie. Posłałem do *Polish Book Fund* w Londynie. Nawet się początkowo podobała. Ale potem zażądali dużych skrótów, następnie okazało się, że zebrali pieniądze, ale muszą wydać rzecz o księdzu Popiełuszce, więc moje odpadła. W końcu odmówili zwrotu maszynopisu, mimo mojej licznej korespondencji. Więc już początki z moją twórczością w Wolnym Świecie były pechowe.

W Australii twórczość traktowałem jako rodzaj pracy, wykonywanej systematycznie w godzinach rannych, mając świeży i kreacyjny umysł. Pisałem i rysowałem bardzo dużo dla dzieci. Miałem już pewne doświadczenie w tej dziedzinie. Lubelskie Wydawnictwo opublikowało moją „Podróż Tomka na dwie Planety". W Polsce znajomy literat Zbigniew Fronczek umożliwił mi opublikowanie „Prywatnej Australii". A potem zaczepiłem się jako grafik i autor w krakowskiej „Miniaturze". I na tym był koniec. Pojawił się mur nie do przebycia. Wynajęliśmy nawet lokalną anglistkę-poetkę w Perth, żeby wygładzała mój język, bo Andrzej twierdził, że używam polskiej składni i

angielskich słów. Też miałem zerowe rezultaty. Depresja się pogłębiała. I znowu z niej musiałem wyjść, tym razem nie na pola i lasy, ale na piękne plaże Perth. Są czyste, nie zatłoczone i ciągną się prawie w nieskończoność.

Oglądałem ostatnio słynną *Bondi Beach* w Sydney. Owszem, piękna, ale to tylko podkowa. W Perth możesz iść, iść, iść. Prawie w wieczność wyimaginowaną. Depresję leczyłem także u polskiej lekarki doktor K. Była to kobieta sukcesu. Jedna z niewielu z nowej postsolidarnościowej emigracji, która pracowała w swoim zawodzie. Była też niezłym psychologiem, często załamywała nade mną ręce, ale pomagała wystawiając zaświadczenia, dzięki którym trwałem. Dla profesorów i intelektualistów naturalnym rozwiązaniem jest na emigracji nie taksówka, ale dalsze studiowanie nawet w podeszłym wieku.

JSG: Jakie jest Pana podejście do życia?

AF: Z natury jestem samotnikiem i indywidualistą, a także naturalnym samoukiem. Moim wzorem w młodości był Van Gogh, który się sam nauczył malarstwa. Ponoć rozbijał gipsowe figury, które mu polecono kopiować, dlatego niczego formalnego ze sztuki nie dokończył. Zresztą chciał być pastorem, ale znalazł poważną rozbieżność między mistycyzmem, a praktycznym życiem kościoła. Mnie właśnie w religii pociąga spirytualizm i mistycyzm, którego obecnie kompletnie brak. Ba, nawet jest

przez autorytety niemile widziany.

W moim życiu uspokojenie nastąpiło dopiero wtedy, gdy oficjalnie dostałem australijską emeryturę, dzięki czemu mogłem skupić się tylko na mojej twórczości. Systematyczna działalność rankami spowodowała, że nagromadziłem potężne *body of work* zarówno w sztuce jak i literaturze. Nie wspominając już o tym, że napisałem i skomponowałem około 300 piosenek. Dostałem za nie kilka razy nagrody na konkursach w Sydney poświęconym Strzeleckiemu i Kościuszce. Dużo też pomaga mi gra na australijskim *didgeridoo*, ponieważ lubię Kulturę Aborygenów. Sam się nawet poniekąd uważam za Polskiego Aborygena w Australii…

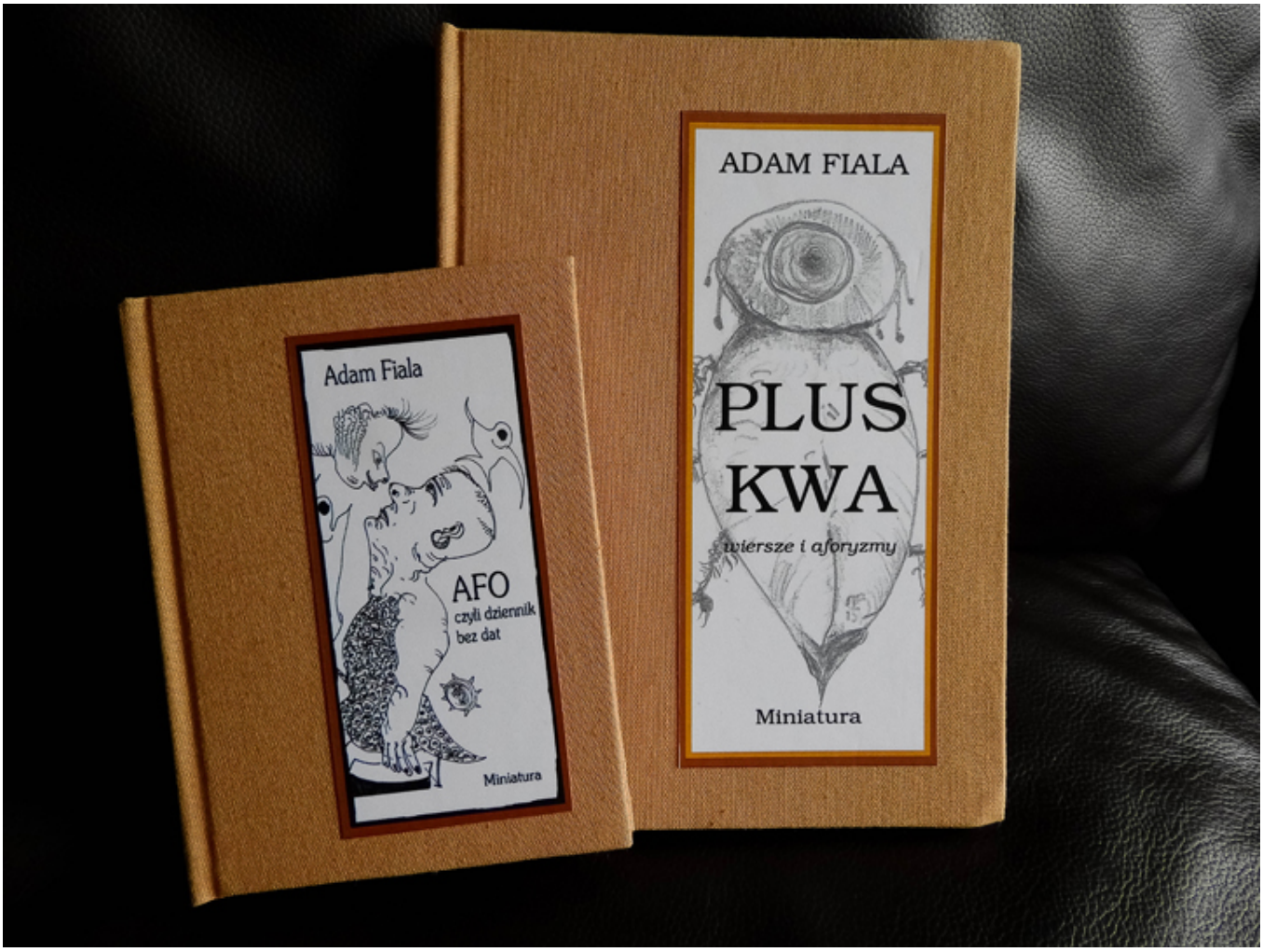

JSG: Uprawia Pan różne dziedziny – rysunek, malarstwo, poezje, a także muzykę. Czy te dziedziny się dopełniają? Buduje Pan pomiędzy nimi mosty?

AF: Głównym mostem w mojej twórczości jest humor i satyra. W Polsce ze względu na pisanie obyczajowe połączone z humorem, porównywano mnie z Dickensem, którego bardzo lubiłem. Potem polubiłem Franza Kafkę.

Początkowo zakładałem (przylatując znałem już trochę angielski, nawet czytałem Steinbecka w oryginale), że mój poziom języka

tak się rozwinie, że bez trudu będę pisać poczytne powieści, wreszcie zarabiając na siebie i rodzinę. Tak się niestety nie stało. Poza tym rodzina się rozpadła. Po czasie wróciłem do Anny, ale już nie jako mąż, ale po prostu przyjaciel, współpracujący z nią w dziedzinie sztuki. Anna ma znakomite oko fotografa, malowała piękne, bardzo wysmakowane obrazy, tkała też gobeliny. Miała dużo więcej wystaw niż ja, choć też nie zrobiła tzw. kariery.

W międzyczasie dowiedziałem się, że żywot pisarza w wolnym, pozostawionym kraju, też stał się pod każdym względem trudny, więc nie żałowałem tej ucieczki, bo tak to można by nazwać. Jechaliśmy niby na leczenie syna do Francji, wysiedliśmy z pociągu we Frankfurcie nad Menem i tak dalej, i tak dalej toczyło się to nasze życie…

JSG: Co Pana fascynuje w otaczającym świecie i czym się Pan inspiruje w swojej twórczości?

Adam Fiala w Domu Polskim w Bedford.

AF: Lubię zjawiska nadprzyrodzone i niewytłumaczalne. Spirytualizm znalazłem w bardzo dynamicznej sztuce Aborygenów, której jestem entuzjastą. Ich *dreamtime* stał się moim *dreamtimem*. Nauczyłem się gry na *didgeridoo*, która ma właśnie spirytualne brzmienie, prawie dosłownie. Potrafię grać na tym instrumencie kwadrans bez żadnej przerwy. Ich malarstwo przypomina mi pewne okresy twórczości ulubionego przeze mnie Picassa. Pamiętam z Polski dowcip, ławki malowano w „stylu Pikas”, tak było w oficjalnych cennikach.

Aborygeni z drugiej strony są bardzo pamiętliwi, ciągle wspominają krzywdy wyrządzone im przez białych. Ja mam inną naturę. Po jakimś czasie nawet do wrogów nie żywię urazy. W Polsce studiowałem na KUL-u za wstawiennictwem wujka księdza, którego lubiłem, ale nie zgadzałem się z pewnymi doktrynami, a zwłaszcza z celibatem. Najpierw byłem na historii sztuki, a potem po prawie, na psychologii w ramach tak zwanej filozofii chrześcijańskiej. Lubiłem KUL, bo na jego terenie czułem się jak w innym państwie. Studenci KUL-u nie mieli obowiązku uczestniczenia w zajęciach na studium wojskowym (moje małe udręki), a także KUL nigdy nie brał udziału w manifestacjach pierwszomajowych. Trudno było nie lubić tego święta, bo zawsze świeciło w tym dniu słońce. Jako studenci byliśmy politycznie obojętni, nikt ze znajomych nie słuchał „Wolnej Europy", zresztą bardzo zagłuszanej. Cieszyliśmy się, że mamy studia za darmo i bardzo tanie książki. No i było mnóstwo rajdów turystycznych, czy biesiad literackich.

JSG: Na jakie etapy podzieliłby Pan swoją twórczość?

AF: W twórczości widzę etap fascynacji i etap dojrzewania czyli przemyśleń. Ale też lubię kompletną spontaniczność, działanie podświadomości i wyciąganie pomysłów, jak królika z przysłowiowego kapelusza. Fascynacje znajdowałem w Polsce w pięknym słonecznym lubelskim lecie oraz mroźnej i też słonecznej zimie. Gdy wyemigrowałem do Warszawy (pierwsza

emigracja) już tego słońca nie było. Większość pochmurnych dni na Równinie Mazowieckiej. Perth w Zachodniej Australii ma idealny klimat, minimalna ilość burz i najwięcej słońca z całej Australii. A także czyste, nie zatłoczone plaże i piękny Ocean Indyjski. Czego więcej potrzeba człowiekowi? Domów, sportowych samochodów? Mam dwa rowery i dzięki nim dobre zdrowie. Mieszkam niedaleko plaży.

W Polsce czytałem „Żywot człowieka poczciwego", ja swój mogę nazwać „Żywotem człowieka szczęśliwego". Ale też znam osoby z Polski nie znoszące Australii, każdy ma prawo do własnego punktu widzenia.

JSG: Różne Pana pola twórczości, zarówno te literackie, jak i wizualne łączy jedno – przedstawia Pan wewnętrzne demony tkwiące w człowieku za pomocą symboli i znacznej deformacji rzeczywistości. Czy taka jest Pana intencja?

AF: Tak, kocham symbole i znaki. Złapałem to od Aborygenów. Stąd także fascynacja sztuką japońską i chińską, potrafię pisać haiku, mam w swym prywatnym zbiorze kilkaset sztuk haiku. Lubię też naśladować ich pismo, podobnie jak mimiczne gesty osób głuchych. Z tym drugim to trzeba uważać bo nazywają to złośliwą parodią i od razu oskarżają o rasizm czy podobne dyskryminacje. Wewnętrzna cenzura obecnie wyznacza granice humoru. I honoru. Ale oficjalna też jest, zwłaszcza obyczajowa.

Australijczycy mają bardzo ubogi zakres przekleństw. Właściwie tylko jedno słowo na „f”. Polacy i Hiszpanie w tej dziedzinie mają więcej pomysłowości…

JSG: Czy Pan się uważa za artystę figuratywnego, spirytualistycznego czy surrealistycznego?

AF: Jestem półfiguralny, półabstrakcyjny i półspirytualny. Kocham duchy i zjawiska nadprzyrodzone i fascynują mnie morderstwa, których nie można wykryć mimo kolosalnych nakładów. Napisałem nowelę o zaginionym samolocie w Oceanie Indyjskim do tej pory nie odnalezionym. Napisałem też o samolocie zestrzelonym nad Ukrainą. Oczywiście fantazje. Obie sprawy są nadal nie wyjaśnione. Dlaczego to napisałem? No, dla własnej przyjemności i satysfakcji, kto by się beznadziejnie prosił w australijskich wydawnictwach? Szkoda i czasu i stresu, który zawsze towarzyszy tego typu działaniom. Lubię, że nie wszystko trzeba odkrywać i najlepiej niech pozostaje tajemnicą.

Adam Fiala zimą w parku w okolicach Perth w Australii.

JSG: Gdyby miał Pan możliwość rozpocząć swoją karierę zawodową od początku, i wiedział by Pan o sobie, to, co wie Pan teraz, poszedłby Pan tą samą drogą?

AF: Najprawdopodobniej wylądowałbym, gdyby się cofnął czas, nie na prawie, ale w Wyższej Szkole Teatralnej. Fascynował mnie polski komik Adolf Dymsza, miałem naturalne zadatki komika, rozśmieszałem klasę ku utrapieniu nauczycieli i w konsekwencji ciągle wzywanej matki. Na akademiach szkolnych recytowałem wiersze, nie, nie o Stalinie tylko satyry o bikiniarzach, to coś w rodzaju *punków* obecnego czasu. Bikiniarze mieli spodnie wąziutkie jak rurki i olbrzymie samodziałowe marynary. A także lekceważyli socjalistyczną, żelazną dyscyplinę pracy. Był taki wierszyk: „Bikiniarze to są ludzie tacy” i tak dalej łatwo

dośpiewać do rymu. Ułożyłem też kiedyś wierszyk o KUL-u. Tam była słynna impreza na cały Lublin: doroczny, jesienny bal na KUL-u, zwany Eutrapelią. Dokładnie nie wiedziałem co to znaczy, ale podobała mi się nazwa. Ułożyłem taki wierszyk:

> Eutrapelija, twista wywija,
>
> ksiądz rektor z nami, fika z KULwami.

Z tym że KULwy to były po prostu studentki KUL-u, a nic więcej.

Głównym problemem każdego pisarza czy artysty jest potrzeba zarabiania na życie. Teraz, gdy mam juz 77 lat i dobre zdrowie mam to z głowy, poza tym mam dwie emerytury, australijską i polską. Więcej grzechów w tej dziedzinie nie pamiętam, a te które pamiętam niech mi będą odpuszczone…

Adam Fiala na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/adam-fiala-wiersze-i-rysunki/

Inne artykuły:

http://www.zrobtosam.com/PulsPol/Puls3/index.php?-sekcja=4&arty_id=14744

https://australink.pl/slawa-chwala-polonii-australijskiej--czyli-o-adamie-fiali/

Galeria prac Adama Fiali ukaże się na Culture Avenue w środę 22 listopada 2017 r.